

Artur Domosławski

WYGNANIEC. 21 scen z życia Zygmunta Baumana

Fragmenty

(str. 27-29)

Żydowski chłopiec w getcie ławkowym

Ta scena rozgrywa się w czwartek 1 września 1938 roku.

Trzynastoletni Zygmunt w gimnazjalnej czapce na głowie wchodzi do klasy w nowej szkole. Nagle spada na niego lawina kuksańców i kopniaków. Uderzany i popychany traci równowagę. Napastnicy zaciągają go do ławki w ostatnim rzędzie po lewej stronie i pouczają: „Tu jest twoje miejsce, ty Żydzie, i ani się waż szukać lepszego”.

Jest oszołomiony. Duma, że znalazł się w elitarnym gronie gimnazjalistów, z którego wyrosną inteligencji, chwilowo się ulatnia. Po kilku minutach z kłębowiska ciał do ławek w ostatnim rzędzie wypchniętych zostaje jeszcze czterech innych chłopców. Są bladzi, potykają łyzy. Ukradkiem zerkają jeden na drugiego. Wrzawa cichnie, dopiero gdy w klasie zjawia się nauczyciel.

Obrywanie z paragrafu „ty Żydzie” to dla Zygmunta nie nowość. Tamtego dnia jest nią coś innego: po raz pierwszy nie jest w takiej sytuacji sam.

Na poznańskich Jeźycach, gdzie mieszka z rodzicami i siostrą, jest jedynym żydowskim chłopcem, przynajmniej w najbliższym sąsiedztwie – a przez to ulubionym obiektem zaczepek rówieśników. Pierwszego dnia nauki w Gimnazjum im. Bergera w Poznaniu jest jednym z pięciu „wyróżnionych”. Trzech z owych pięciu powtarza pierwszą klasę, co znaczy, że tamtego roku prócz Zygmunta do Gimnazjum im. Bergera przyjęto jeszcze tylko jednego żydowskiego ucznia. Gimnazjum to jest jedynym w mieście, w którym jako żydowscy Polacy czy – jak kto woli – polscy Żydzi mają szansę się uczyć. We wszystkich innych obowiązuje zasada *numerus nullus*: żadnych Żydów.

Niewiele brakuje, by i ta szansa Zygmunta umknęła. Po zdanych celująco egzaminach pisemnych z polskiego i matematyki omal nie poległ na egzaminie ustnym. Zjadała go trema, trząsał się od stóp do głów. Usiadł w ławce naprzeciw nauczyciela przeprowadzającego egzamin. I tu zaskoczenie: egzaminujący ani nie spytał o ważne wydarzenia z historii, ani nie prosił o analizę któregoś z dzieł literatury polskiej, lecz kazał „opisać codzienną drogę do szkoły”. Mimo prostoty pytania, a może właśnie z jej powodu Zygmunt siedział osłupiały. Obserwacje i przeżycia za nic nie chciały złożyć mu się w głowie w jakąkolwiek opowieść.

– Mieszkam na narożnej ulicy... – ledwo wykrztusił, mimo że chciał powiedzieć coś zupełnie innego: że mieszka w narożnym domu.

„Ujrzałem z przerażeniem złośliwy uśmiezek wypełzający na twarz mojego oprawcy – wspomni kilka dziesięcioleci później w notatkach spisywanych dla córek. – Był najwyraźniej zadowolony. Myślał sobie pewnie z satysfakcją: »Jak łatwo udało mi się pozbyć przynajmniej tego jednego!«”.

Zygmunta wybawił dyrektor gimnazjum, który z podium przysłuchiwał się egzaminowi, mając przed sobą prace pisemne kandydatów.

– Proszę wybaczyć, panie profesorze, ale ten chłopiec nie wymaga egzaminów ustnych. Otrzymał najwyższe oceny za obie prace pisemne i już został przyjęty.

„Te słowa, kwaśny wyraz zawodu, jaki nagle zastąpił uśmiech tryumfu na twarzy egzaminatora, gwałtowne łomotanie mojego serca, tzy matki, która na wpół żywa ze zdenerwowania czekała na korytarzu – wszystko to razem stopiło się we mnie w zawrotne uczucie szczęścia i pozostało na zawsze najszcześniejszym wspomnieniem z lat mojego dzieciństwa. To było pierwsze osiągnięcie, jakie zawdzięczałem wyłącznie własnemu wysiłkowi, pierwsze zwycięstwo odniesione wbrew przytłaczającym, nieubłaganym przeciwnościom losu”.

Ojciec

Pierwsze niezatarte wspomnienie kilkuletniego Zygmunta nie jest tak budujące.

Łomot do drzwi, do mieszkania wchodzi nieznanymi ludziami z noszami, na których leży ojciec w płaszczu ociekającym wodą i pokrytym pasmami wodorostów. Maurycy Bauman, z zawodu księgowy, nieszczęsny przedsiębiorca bez głowy do interesów, podjął rozpaczliwą próbę zakończenia żywota. Skoczył z mostu Tumskiego do Warty i gdyby nie przechodzący harcerze, Zygmunt zostałby tamtego dnia półsierotą. Harcerze wskoczyli w lodowaty nurt rzeki i mimo oporu niedoszłego samobójcy wyciągnęli go na brzeg.

O sprawie zrobi się tak głośno, że napisze o niej jedna z lokalnych gazet. Baumanowie będą przechowywali niczym rodzinne memento wycinek ze wzmianką zatytułowaną „Polscy harcerze ratują Żyda”.

„Był skromnym, milczącym, zamkniętym w sobie człowiekiem. Pewnie i niewielkiego mniemania o sobie – wspomni profesor Bauman już jako ojciec trzech córek. – Nie przypuszczał, by jego życie warte było opowiadania, a już bynajmniej nie sądził, by rozmówcy byli ciekawi jego zwierzeń”.

Maurycy Bauman nigdy niczym się nie chwali. Nie wspomina na głos dzieciństwa, nie dzieli się uczuciami. Nigdy na nic się nie skarży. Wyjątkiem jest jedyna sytuacja, u kresu życia, w Izraelu, dokąd wyemigruje pod koniec lat pięćdziesiątych. Dożywający swoich dni opowiada czuwającemu przy nim Zygmunutowi, że jako chłopiec w chederze – żydowskiej szkole religijnej – często płakał. Nauczyciel Tory trzymał uczniów u siebie przez cały dzień i pozwalał na jedną tylko krótką przerwę na południowy posiłek. Mały Maurycy płakał wtedy z zazdrości, że inni chłopcy zjadają chleb z drobiowym smalcem podczas gdy jemu rodzice dawali suchy.

„Przypuszczam, że w jego słowniku brakło słów, jakimi przyjęto się nazywać stany ducha i zdawać z nich sprawę. Ale domyślam się też, że jego milkiwość mogła mieć inną jeszcze przyczynę: jego, swoistego rodzaju, poczucie godności własnej. Podejrzał pewnie lub postanowił wierzyć, że ma życie takie, na jakie zasłużył, że nie zasłużył sobie na nic więcej i domaganie się czegoś, co mu nie przysługuje byłoby dowodem braku godności, jeśli nie zgoła bluźnierstwem. Nie irytował się więc, nie oburzał i nie narzekał. Życie nie może upokorzyć człowieka, który się nie skarży. To skarga czyni życie upokorzeniem”.

(s. 130 – 136)

Zygmunt Bauman wybiera komunizm. Dwa razy

Sceneria: dom profesora Baumana w Leeds. Czas: koniec 2016 roku. Rozmowa z Aleksandrą, jego drugą żoną, końcowe obrachunki z życiem. Innych didaskaliów nie znam.

– Powiedział, że gdyby raz jeszcze miał dokonać wyboru swojej drogi po wojnie, wybór byłby taki sam
– relacjonuje w czasie jednego z naszych spotkań Aleksandra.

Zdanie w tej sprawie miał ugruntowane od dawna. W 2010 roku, gdy odwiedziłem go w Leeds i rozmawialiśmy o sporach wokół mojej książki o Ryszardzie Kapuścińskim, Bauman nawiązał do swoich wyborów politycznych po wojnie. Wypowiedział myśl, która miała dokładnie taki sam sens jak słowa skierowane do żony na krótko przed śmiercią: wybór komunizmu był w 1945 roku wyborem najlepszym, komuniści mieli najlepszy program dla Polski. Nie pamiętam, jakich dokładnie użył sformułowań, to była rozmowa przy herbacie, polegam na zawodnej pamięci.

Zapamiętałem, że akcentował „najlepszy program dla Polski”. W jego wyborze, jak zrozumiałem, realizm polityczny (Polska znajduje się w radzieckiej strefie wpływów, więc nie ma innego wyjścia) nie odgrywał istotnej roli, a może wręcz nie odgrywał żadnej.

Spodobała mi się szczerłość tego wyznania przede wszystkim dlatego, że wielu z pokolenia Baumana odżegnywało się po latach od fascynacji ideami komunizmu, pomniejszało własne zaangażowanie, uzasadniało swój akces do systemu i życia publicznego oraz robienie kariery realizmem politycznym właśnie, brakiem szansy na inną Polskę po 1945 roku. Jak gdyby mówili: nie chcieliśmy komunizmu, ale poparliśmy nową władzę, nie było innego wyjścia, ktoś musiał Polskę odbudować i zbudować na nowo.

Istotnie, realizm polityczny motywował niektórych uczestników życia publicznego w PRL-u, lecz wielu robiących kariery, zwłaszcza na początku tamtej epoki, popierało nową władzę z przekonaniem i entuzjazmem, często neofickim. Bauman był jednym z nielicznych, którzy po transformacji ustrojowej w 1989 roku mówili o tym otwarciu. Na dodatek potrafił wyznać, że gdyby miał dokonać wyboru raz jeszcze, mądrzejszy o późniejsze doświadczenia, postąpiłby tak samo.

**

W 2013 roku ukazał się rozrachunkowy wywiad z Baumanem w „Gazecie Wyborczej”: jeden z nielicznych, jakich udzielił na temat swoich wyborów politycznych w czasach Polski Ludowej. Redakcja opatrzyła go tytułem „Dałem się uwieść”. Z powodu tego tytułu Zygmunt – jak opowiada Aleksandra – złościł się i popadał w przygnębienie, zarzekając się, że niczego takiego autorowi wywiadu, Tomaszowi Kwaśniewskiemu, nie powiedział.

„Ja nie dałem się uwieść! To była moja świadoma decyzja, mój wybór!” Takie słowa to zasmuconego, to poirytowanego męża pamięta Aleksandra.

Tymczasem w wywiadzie zapisano tak:

„Kwaśniewski: Nadal się pan wstydzi [chodzi o udział w budowaniu komunizmu – A.D.]?”

Bauman: Nie ulega kwestii, że dałem się uwieść. Że byłem naiwny. Że wielu rzeczy nie rozumiałem. To prawda. Natomiast nie mam sobie za złe, że popełniałem jakieś rzeczy nieczne, bo ich jako żywo nie popełniałem. Choć w jakimś sensie przez to, że się nie buntowałem, pomagałem w tych rzeczach pośrednio. I to mam sobie za złe”.

Kwaśniewski twierdzi, że żadnych niewypowiedzianych słów Baumanowi nie dopisał. Dopisać Baumanowi myśl nie-Baumana? Któż by śmiał? – mówi dziennikarz.

Bauman sam nie był chyba pewny, czy zdanie, na które potem się złościł, padło w rozmowie czy nie. Sprostowania nie napisał. W rozmowie z Aleksandrą dochodzimy zgodnie do następującego wniosku: możliwe, że takie zdanie z jego ust padło; ileż zdań każdy z nas wypowiada, a potem sam ze sobą się nie zgadza? Humor popsuło Baumanowi najbardziej to, że z owego zdania redakcji zrobiła tytuł; tytuł zaś często determinuje odbiór całego tekstu.

Według Baumana zdanie to było wybitnie niefortunne. „Dałem się uwieść” – zabrzmiało tak, jakby wypierał się swojego wyboru, siebie samego. Jakby uciekał od odpowiedzialności. A przecież nie chciał tego robić. Pragnął jedynie wytłumaczyć, dlaczego został komunistą. I dlaczego wielu ludzi jego pokolenia przyjmowało nowy ustrój i nową wiarę z entuzjazmem.

Teraz, po rozmowie z Kwaśniewskim, nabieram wątpliwości, czy Bauman rzeczywiście pragnął cokolwiek tłumaczyć, przynajmniej publicznie. Przez długi czas nie chciał opublikowania wywiadu, który został przeprowadzony w jego domu w Leeds w 2010 roku, a na łamach „Gazety Wyborczej” ukazał się dopiero trzy lata później. Gdy Kwaśniewski przesłał mu spisany tekst rozmowy, Bauman odmówił autoryzacji i zgody na publikację. Dziennikarz odniósł wrażenie, że Bauman czuł niepokój przed mówieniem o swojej przeszłości. Tego niepokoju nie rozumiał.

– Najpierw nie chciał tej rozmowy, potem się zgodził, a po jej przeprowadzeniu mnie zniechęcił – wspomina Kwaśniewski.

– Jak się objawiało to zniechęcenie? – dopytuję.

– Stał się chłodny.

W pewnym momencie Kwaśniewski zaproponował Baumanowi, że napisze o nim książkę biograficzną, jeszcze za jego życia. Plan pracy wyobrażał sobie tak: Bauman będzie sugerował mu rozmówców pamiętających rozmaite okresy w jego życiu, a po przeprowadzeniu rozmów dziennikarz biograf będzie weryfikował zdobyte informacje u samego bohatera książki. Kwaśniewski liczył, że mimo takiego niewygodnego dla biografu układu zdoła zachować niezależność spojrzenia, by nie powstała hagiografia omijająca słabości i pomyłki bohatera, pozbawiona ocen ambiwalentnych, czasem krytycznych. Bauman z kolei zachowałby względną kontrolę i na pewno znaczny wpływ na tę opowieść o sobie. Trudny kompromis autora z bohaterem.

– Nawet nie odpowiedział na moją propozycję – opowiada Kwaśniewski.

Dziennikarz zapamiętał również wrażenie z kilku spotkań, że Bauman łaknie uznania, lecz go nie dostaje – przynajmniej nie takie, na jakie liczy, i na pewno nie w Polsce.

Czy uważał, że mówienie o przeszłości może mu zaszkodzić u polskiej publiczności? Na pewno przeszłe zaangażowania polityczne nie pomagały w zdobyciu szerszego uznania w Polsce. Czy liczył na przyznaną przez „Gazetę Wyborczą” nagrodę Człowieka Roku? W każdym razie nie doczekał się.

– Dzwonią, proszą o teksty, wywiady i nic z tego nie mam – takie zdanie wypowiedziane przez Baumana zapamiętał Kwaśniewski.

Na opublikowanie wywiadu o swoim akcesie do komunizmu – ku zaskoczeniu dziennikarza – Bauman zgodził się trzy lata po jego przeprowadzeniu. Sekwencja zdarzeń wydaje się oczywista: stało się to tuż po bolesnym zdarzeniu we Wrocławiu, kiedy nacjonałiści zagłuszyli jego wykład i rzucali obelgi. Do publikacji wywiadu przekonał Baumana ktoś z redakcji „Gazety Wyborczej” (wtedy Kwaśniewski nie miał już kontaktu z Baumanem). Wersja, która ukazała się na łamach, została – jak mówi – okrojona, choć nie pamięta on, czy wykreślono coś naprawdę istotnego. Nie jest też w stanie tego sprawdzić, gdyż pierwszej wersji wywiadu nie zarchiwizował i przepadła.

Sam wywiad Kwaśniewski wspomina z rozczarowaniem. Mówi, że był zły na Baumana. Dlaczego? Bo wielki intelektualista nie umiał przeprowadzić rozrachunku z przeszłością, z samym sobą, choć jego pozycja była całkowicie niezagrożona, cieszył się na świecie wielkim uznaniem.

– Czego właściwie oczekiwałeś od Baumana? – dopytuję.

– Że powie: byłem głupi, nie odczytałem tego, że robią mnie w konia. Jak gdyby ta rysa miała odebrać mu splendor.

Sugeruję, że wywiad jest doskonały, najlepszy, jaki ktokolwiek zrobił z Baumanem na ten temat. Po raz pierwszy bowiem, mówiąc o swoim zaangażowaniu w komunizm, Bauman nie chowa się za teorią ani za cytatami z myślicieli; mówi swoim głosem. W moim odczuciu niezwykle szczerze.

Zauważam też, że Bauman nie mógł powiedzieć „byłem głupi”, ponieważ do końca życia uważał wybór komunizmu po 1945 roku za najlepszy w tamtych okolicznościach. A krótko przed śmiercią wyznał, że gdyby miał dokonać wyboru ponownie, wybrałby tak samo.

Kwaśniewski nie jest przekonany do moich uwag.

– To nielogiczne – mówi. – Był szczyłem, wylądował w czasie wojny w ZSRR, tam chodził do szkoły, coś mu do głowy wkładano, potem to samo robiono w wojsku. Jego życie potoczyło się tak, jak się potoczyło, nie inaczej. Nie było okna, z którego mógłby wyskoczyć, więc to nie był do końca jego wybór. Sam mówił w wywiadzie, że innego życia mieć nie mógł. I to prawda. Dopiero po latach miał dane, by trafnie ocenić sytuację i dokonywać prawdziwych wyborów.

Zdanie „postąpiłbym jeszcze raz tak samo” kupuję – mówi dalej Kwaśniewski – jeśli wyobrażamy sobie tamtego dziewiętnastolatka w 1945 roku, sytuację, w jakiej się znalazł, stan jego wiedzy. Ale już ocena w rodzaju „z dzisiejszej perspektywy twierdzą, że dobrze zrobiłem” budzi moje wątpliwości.

Nie jestem pewien, czy Bauman miał na myśli tylko to pierwsze czy również drugie.

**

Następnym pokoleniom, zamieszanym w opór przeciwko ustrojowi Polski Ludowej, trudno dziś zrozumieć, że po 1945 roku komunizm był drogą na równi uprawnioną z innymi drogami politycznymi – a może nawet uprawnioną bardziej niż inne. Uwagę na tę okoliczność zwraca mi Krzysztof Pomian, filozof i historyk idei, kolega Baumana z Uniwersytetu Warszawskiego.

– Ludzie w szarych szynelach, który przyszedli ze wschodu wraz z Armią Czerwoną – mówi Pomian – mieli głębokie przekonanie, że gdyby Związek Radziecki nie pokonał Hitlera, byłiby pierwszymi do zgładzenia. Niektórzy z nich, jak Bauman, jak późniejszy historyk Bronisław Baczko i ekonomista Włodzimierz Brus, mieli żydowskie korzenie. Cóż z tego, że sami czuli się Żydami głównie wtedy, gdy o ich żydostwie przypominali im inni? W świecie, w którym Hitler pokonałby Stalina, czekała ich zagłada, jak wielu ich bliskich, którzy pozostali na ziemiach okupowanych przez III Rzeszę.

– Dla ludzi tej formacji – kontynuuje Pomian (jego ojciec zmarł w radzieckim łagrze) – podobnie jak dla mojej matki, kobiety wykształconej, przedwojennej komunistki, krytycznej i wobec Stalina, i później wobec władz PRL-u, pokonanie Hitlera i faszystów usprawiedliwiało w pewnym sensie działania władz radzieckich i Stalina oraz ogrom wyrządzanego zła. Taki był nastrój epoki. Bez zrozumienia tego nie zrozumie się ludzi tamtego czasu ani ich wyborów.

Jeśli dodatkowo, jak Bauman, pochodziło się z nizin społecznych, postawienie na Polskę Ludową stwarzało szansę na awans, wybiecie się w górę. Gdyby nie awans społeczny, życie zawodowe Baumana, a i jego życie osobiste wyglądałyby inaczej. Gdyby nie wielkie społeczne przetasowanie czasów Polski Ludowej, jego pierwsza żona Janina, z którą spędził ponad sześćdziesiąt lat, panna z

bogatego domu, byłaby prawdopodobnie „poza jego zasięgiem”. Takie wyznanie Bauman poczynił wiele lat później Aleksandrze.

**

„[...] proszę sobie teraz wyobrazić, że ma pan znowu osiemnaście lat – mówi Bauman młodszemu o pół wieku Kwaśniewskiemu w wywiadzie „Dałem się uwieść”. – Oczywiście myśli pan o dziewczynach, to niewątpliwe, ale w chwilach wolnych to o czym pan myśli? No właśnie: o tym, jaki jest świat. Co można by tu zrobić, żeby on był inny.

Nasłuchałem się więc tego wszystkiego i skojarzywszy z tym moje własne dziecinne doświadczenia, doszedłem do wniosku, jak bardzo wielu młodych ludzi w tamtym czasie, że jak się tak zestawia wszystkie programy dla Polski, to komuniści mają najlepszy.

No proszę, proszę się w to wszystko wczuć. Przychodzą do pana i mówią: damy ziemię chłopom. A ja wiedziałem, że chłopci cierpieli, bo nie mieli. Fabryki damy robotnikom. Cudownie, mój ojciec nie będzie musiał czapkować. W ogóle wszyscy będą równi.

Wykształcenie będzie bezpłatne. Wspaniale! Wykształcenie to była dla mnie niezwykle istotna sprawa.

Padły też przeróżne hasła przeciwko dyskryminacji i upokorzeniu. To ostatnie zwłaszcza stało się bardzo ważnym pojęciem w moim życiu i do tej pory jest”.

Wyjaśniając swoje motywacje, Bauman kładzie silny akcent na doświadczenie lat przedwojennych: tamten świat „zawiódł kompletnie”, skompromitowało się wszystko, co miało zabezpieczać ludzką egzystencję.

Nieco więcej o mrocznym dziedzictwie Polski międzywojennej mówi – a właściwie pisze – w wywiadzie korespondencyjnym, jaki przeprowadzam z nim w 2006 roku*.

„[...] była »tamta Polska« krajem niewiarygodnego ubóstwa, jakie gnieździło się już o parę kroków od mojego domu, tuż po drugiej stronie ulicy Dąbrowskiego, a od czasu do czasu puszczało pędy i wzdłuż wymuskanych i z pozoru zadowolonych z siebie i ze swego losu ulic Prusa czy Słowackiego, sięgnęło też i na lat parę wewnątrz naszego mieszkania, a w każdej wiosce, jaką przyszło mi w dzieciństwie odwiedzić, pleniło się już bez żadnego skrępowania bezrobociem i beznadzieją, otwarciem drzwi z wszelkiego udawania, masek i pozorów. Była też ta Polska gościnnie dla możnych a bezlitosna, współczucia wyzbyta dla tych, którzy od ich łask zależeli, zmuszając tych drugich, podobnie jak mojego Ojca, do wymiany godności ludzkiej na chleb dla rodziny. Wszystko to pamiętałem, jak pamiętałem kuksańce, kopnięcia, szturchania, których wspomnienie bolało na długo potem, jak sińce znikwały i ból ustawał; i obelgi obliczone na to, by trwać wiecznie. [...] To właśnie w »przerabianiu na lepszą« tamtej Polski pragnąłem uczestniczyć”.

Perspektywa wydobycia kraju ze zniszczeń wojennych materialnych i duchowych pokrywała się w 1945 roku z osobistymi pragnieniami młodego człowieka: by coś sensownego zrobić w zaczynającym się dorosłym życiu. I z aspiracjami plebejusza: by wyrwać się z biedy, w jakiej żył przed wojną.

By znaleźć argumenty trafiające do wyobraźni młodszego o kilka dekad rozmówcy, Bauman wspomina wykładowcę z Uniwersytetu Warszawskiego, mistrza wielu socjologów, Stanisława Ossowskiego. Pod koniec życia Ossowski zwierzył się ze swoich myśli o przedwojennej Polsce. „[...] jak w 1939 roku zmobilizowano go [Ossowskiego] do twierdzy Modlin i gruchnęła tam plotka, że się Beck z Ribbentropem [ministrowie spraw zagranicznych Polski i Niemiec przez II wojnę światową] dogadali: wojny nie będzie, wpadł w straszliwą rozpacz. »To dalej ma być tak samo? Dalej tak okropnie? Miałem nadzieję, że ta wojna coś zmieni, rozbije, strzaska, wyzwoli«”.

Więc wybór komunizmu – tłumaczy Bauman Kwaśniewskiemu – „to nie było jakieś dziwactwo”, choć „w Polsce w tej chwili panuje opinia, że to było jakieś zwyrodnienie. Że potwory tam szły. I po co? Tylko po to, by ujarzmić Polskę i pozbawić ją niepodległości”.

(s. 464 – 467)

O człowieku, który nie przynależał

Wiele lat po wygnaniu z Polski, w 2002 roku, Zygmunt Bauman odbierał doktorat honoris causa Uniwersytetu Karola w Pradze. W trakcie przygotowań do ceremonii wypłynął niespodziewany problem: hymn którego kraju odegrać na cześć laureata? Tradycyjnie odgrywa się hymn państwa, z którego pochodzi wyróżniona osoba. W przypadku Baumana sprawa okazała się niejasna, niejednoznaczna, zawiła.

Od trzydziestu lat mieszkał wówczas w Wielkiej Brytanii, miał brytyjskie obywatelstwo, ale – jak sam nieraz mawiał – nie czuł się Anglikiem, do bycia Anglikiem nie aspirował, dla kolegów wykładowców i studentów było zaś oczywiste, że jest obcokrajowcem, „a dokładnie Polakiem”.

Dlaczego zatem nie polski hymn? Wciąż czuł się Polakiem, mimo że trzy dekady wcześniej pozbawiono go polskiego obywatelstwa i uczyniły to oficjalnie ówczesne władze kraju. „Czy w takich okolicznościach polski hymn nie będzie uzurpacją?” – zastanawiał się.

Rozstrzygnięcie dylematu wymyśliła Janina: niech odegrają hymn Europy. Wszak Zygmunt jest Europejczykiem, w Europie się urodził, mieszka i pracuje, a najważniejsze – czuje się Europejczykiem. „Co więcej – napisał później on sam – nie ma jak dotąd żadnego europejskiego urzędu paszportowego z prawem do wydawania – lub odmowy wydania – takiego dokumentu, zatem nie można zakwestionować naszych praw do uważania się za Europejczyków”.

Na cześć Baumana Czesi zagrali więc hymn Europy. Laureat uznał to za gest „włączający” i „wyłączający” zarazem. „Wybór ten usuwał z porządku dziennego tożsamość określaną w kategoriach narodowości, a więc tę właśnie tożsamość, której mi odmówiono”. Odmówiono mu tej tożsamości w Polsce, a w Izraelu, do którego wyjechał po wygnaniu z ojczyzny, sam odmówił identyfikacji z państwem narodowym. Polskość i żydowskość pozostały w nim i miały już zawsze boleć – zwłaszcza wtedy, gdy w imieniu jednej lub drugiej ze wspólnot dopuszczano się niegodziwości.

„Nie pamiętam, bym przed brutalnym marcowym przebudzeniem 1968 roku, gdy publicznie zakwestionowano moją polskość, przywiązywał jakąś szczególną uwagę do kwestii własnej tożsamości, przynajmniej jeśli idzie o narodowość. Chyba myślałem, że zwykłą kolejną rzeczą odejdę sobie bezboleśnie na uniwersytecką emeryturę, a potem gdy nadejdzie ten czas, pochowają mnie na jednym z warszawskich cmentarzy. Ale od marca 1968 roku każdy dookoła wciąż oczekuje mojego samookreślenia i posiadania przeze mnie poważnego, starannie wyważonego oraz bystrze dowiedzionego obrazu mojej tożsamości. Dlaczego? Ponieważ odkąd stałem się »człowiekiem w ruchu«, który zerwał ze wszystkim, co mogło uchodzić za »naturalne środowisko«, nie było już miejsca, gdzie mógłbym pasować, jak to się mówi, na sto procent. Wszędzie odstawałem, byłem – raz nieznacznie, raz rażąco – kimś »spoza«”.

Jedną z pierwszych reakcji Baumana na wykluczanie go z polskości i spychanie ku tożsamości żydowskiej jest efekt tak zwanej jaźni odzwierciedlonej (interpretację tę podsuwa Jerzy Wiatr). Pojęcie ukuł Florian Znaniecki, jeden z prekursorów polskiej socjologii. Jaźń odzwierciedlona to rodzaj społecznego lustra nas samych: jeśli ludzie wokół mówią komuś, że jest piękny, bycie pięknym staje się częścią jego samowiedzy. Jeśli powtarzają mu, że jest nie Polakiem, lecz Żydem, zaczyna myśleć o sobie jako o Żydzie. Baumanowi, który czuł się przede wszystkim Polakiem, o żydowskości przypominali zazwyczaj antysemita; na pewno wzmocnili w ten sposób żydowską część jego tożsamości.

W 1968 roku efekt jaźni odzwierciedlonej owocuje u niego przekorną afirmacją. „Jeśli więc zadekretowano, że jestem Żydem, postanowiłem być nim – powie później. – Miałem taką samą

reakcję jak amerykańscy Murzyni, którzy zamiast wstydzić się swojej czarnej skóry, dodatkowo fryzują włosy na afrykańską modłę”.

Osobiste wygnania, nieplanowane i niechciane tułaczki sprawiły, że socjolog w Baumanie miał niebywale obfity materiał do refleksji nad kwestią tożsamości.

„Wydarzenia mojej biografii odpowiednio udratyzowały i jasno pokazały procesy, dziś powszechne i niemal uniwersalne”.

Tożsamość człowieka doby globalizacji często nie zachowuje ciągłości ani spójności. W ciągu kilkudziesięciu lat życia zwykle należymy do różnych społeczności, funkcjonujemy w rozmaitych grupach i otoczeniach kulturowych, przebywamy w różnych miejscach na mapie geograficznej i społecznej. Dotyczy to zarówno ludzi ze świata dostatku, jak i tych z obszarów biedy, którzy uciekają przed wojnami, suszą, wyzyskiem albo po prostu w poszukiwaniu lepszego losu. Tożsamość jednostki w świecie globalizacji nie jest dana raz na zawsze, podlega nieustającym wyborom i negocjacjom, jest „w ruchu”, wieloznaczna.

Pionierami „nowego” byli... Żydzi. „Żydzi jako pierwsi – mówił Bauman w ostatnich latach życia, odwołując się do własnej biografii – zostali z nią skonfrontowani, zostali odkrywcami nowego świata wbrew woli. Można powiedzieć, że byli awangardą ambiwalencji. Jako pierwsi znaleźli się w stanie charakterystycznym dla płynnej nowoczesności, w jakiej żyjemy”.

Zjawisko tożsamości wieloznacznej, „w ruchu” Bauman błyskotliwie ilustruje, przywoławszy treść plakatu z Berlina z 1994 roku. „Twój Chrystus jest Żydem. Jedziesz japońskim samochodem. Jesz włoską pizzę. Demokrację masz z Grecji. Kawę – z Brazylii. Cyfry – arabskie. Alfabet – łaciński. Urlop spędzasz w Turcji. Tylko twój sąsiad jest cudzoziemcem”.

(Jaki hymn zagrać nam wszystkim?)

Wydarzenia burzliwego żywota podsuwały Baumanowi coraz to nowe elementy tworzące układankę tożsamości. Często nie on sam wybierał, kim jest, kim się stanie i za kogo będą go uważać.

U kresu życia odnalazł korzyści płynące z kondycji człowieka „spoza”, który nie należy w stu procentach do żadnego narodu ani żadnego kraju, wręcz rozsmakował się w niej. Nie należy także do żadnej partii, żadnego klanu, żadnej szkoły ani środowiska. Polak, ale nie tylko Polak. Żyd, ale nie tylko Żyd. Anglik? Może gdy idzie o powściągliwość, maniery – i miejsce zamieszkania. Wygnany przez komunistów, ale nie antykomunista. Lewicowiec? Tak, ale taki, który wciąż rozwiązuje kwadraturę koła „ile wolności, ile bezpieczeństwa”. Socjolog? A może bardziej filozof, człowiek przekraczający granice rozmaitych dyscyplin, pisarz eseista?

Człowiek – w symbolicznym znaczeniu – bezdomny?

Na pewno taki, który nie przynależy.

Rewersem tej pięknej indywidualnej utopii jest jednak to, że nawet gdy mówisz najmądrzejsze rzeczy, to ci, którzy „przynależą”, nie słuchają. Przenikliwej krytyki politycznej Baumana nie słuchano ani w Polsce, ani w Izraelu. Gdy był agresywnie atakowany, rzadko podnosiły się głosy w jego obronie. W Wielkiej Brytanii chyba nawet nie aspirował, by stać się słuchanym szeroko głosem krytyki politycznej; celował raczej w kwestie cywilizacyjne i uwagi o kondycji człowieka. Do końca życia uważał się za człowieka lewicy, egalitaryzmu, socjalizmu i choć dla wielu patrzących w tym samym kierunku był autorytetem, niejeden widział w nim odszczepieńca i człowieka, który wyrzekł się wielkiej idei, skapitulował. Niektórzy socjologowie z kolei kwestionowali jego przynależność do dyscypliny, którą uważał za swoje intelektualne terytorium.

Bauman nie pasował, nie mieścił się.

„[...] byłem [»obcym«] od urodzenia, a i takim umrę. Daty wyznaczyć nie potrafię, ale dość rychło zorientowałem się, że na tę obcość nie ma lekarstwa. Przyjąłem więc tę obcość i w jakimś sensie się w niej rozmiłowałem. A może nie tyle rozmiłowałem się w swej obcości, co nabrałem niechęci, i to głębokiej, do jej alternatywy [...]: »przynależenia«”.

Tę niechęć, kształtującą się być może od lat dzieciństwa, zapewne poprzez wypędzenia z Polski i z Partii, która miała etniczne przynależności unieważnić, dopełniły lata, które po wygnaniu z ojczyzny spędził w Izraelu.

Co się tam właściwie wydarzyło?

(s. 695-703)

[Bauman intelektualista i jego pisarstwo]

– Co jest właściwie głównym wątkiem tak wielowątkowej twórczości późnego Baumana? – pytam Wojciecha Bursztę.

– Krytyka kapitalizmu – słyszę potwierdzenie własnej intuicji. – Bauman – mówi Burszta – zajmuje się krytyką kapitalizmu, jego kolejnych przekształceń, postaci, form. Interesuje go przede wszystkim szeroko pojęta kultura, jaką kapitalizm wytwarza, co robi z człowiekiem i społeczeństwami. Myślę, że do końca pozostał na swój sposób frankfurczykiem.

Frankfurczykiem, to znaczy sympatykiem szkoły frankfurckiej, inspirującej się myślą Marksa i zajmującą się krytyką systemów kapitalistycznych.*

Twierdzenie to może budzić konfuzję z tego względu, że współcześni frankfurczycy niezwykle ostro spierali się z postmodernistami, do których Bauman – przynajmniej przez pewien okres, na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych – bywał zaliczany. Postmodernista frankfurczykiem? Tak, to możliwe. Relacja Baumana z postmodernizmem ma charakter chwilowego flirtu, nie długotrwałej relacji* – to po pierwsze. Po drugie, Baumanowi blisko nie tyle dzisiejszemu, ile poprzedniemu pokoleniu frankfurczyków, temu z lat sześćdziesiątych, przede wszystkim myśleniu Theodora Adorna. Podobnie jak Adorno, akcentuje ciemną stronę spuścizny Oświecenia i uważa, że nowoczesność jako projekt racjonalnego, opartego o wiedzę naukową zarządzania światem poniosła porażkę (Holocaust, radziecki komunizm). Współcześni frankfurczycy, na czele z Jurgenem Habermasem, bronią dziedzictwa Oświecenia i odrzucają twierdzenie o porażce nowoczesności. Traktują ją jako „niedokończony projekt”. Bauman polemizuje z wizjami Habermasa, nigdy jednak nie neguje tego, że Oświecenie i nowoczesność pozostawiły także pozytywne dziedzictwo. Przekonuje raczej, by widzieć dwie strony medalu, ambiwalencję wpisaną w nowoczesne aspiracje „ładotwórcze”. Z frankfurczykami obu pokoleń Baumana łączy niewątpliwie krytyczne dekonstruowanie kapitalizmu.

Sprawdzam jeszcze raz.

Gdy Bauman formułuje krytykę, czyni to zazwyczaj za pomocą opowieści, rzadziej za pomocą wyraźnych tez. Opowiada językiem obrazów i perswazji, który ma być strawny dla ludzi mających różne identyfikacje światopoglądowe – nie tylko lewicowe. Widzę w tym pisarską strategię. Prawdopodobnie dlatego otwarta krytyka kapitalizmu, w której termin „kapitalizm” pojawia się wprost, nie jest w jego książkach i wypowiedziach bardzo częsta. Jak gdyby wierzył, że inteligentny czytelnik sam odkryje, o co chodzi.

Gdy jednak krytyka kapitalizmu pojawia się *expressis verbis*, jest miażdżąca.

„Wrodzony paradoks kapitalizmu stanowi w dłuższej perspektywie jego zgon: kapitalizm przypomina węża zjadającego własny ogon” – pisze w *Płynnych czasach*.

Zanim dochodzi do zjedzenia ogona, kapitalizm żywi się wszystkim, co stanowi jego otoczenie, by dokonać akumulacji. „Róża Luksemburg przewidywała zgon kapitalizmu z braku pożywienia: jego głodową śmierć spowodowaną tym, że spożył ostatnie resztki »inności«, którą się żywił. Sto lat później wydaje się jednak, że śmiertelnym, a być może najbardziej śmiertelnym rezultatem globalnego tryumfu nowoczesności jest ostry kryzys przemysłu utylizującego »ludzkie odpady«,

po głębiający się w miarę jak każdy kolejny przyczółek zdobyty przez kapitalistyczne rynki wytwarza kolejne tysiące albo miliony ludzi zasilających rzesze tych, którzy już wcześniej pozbawieni zostali ziemi, warsztatów i społecznych sieci bezpieczeństwa”.

Bauman przestrzega, że liczba ludzi, którzy stali się zbędni „wskutek globalnego tryumfu kapitalizmu” zbliża się do granicy, jaką jest w stanie wytrzymać planeta. „W realnej perspektywie kapitalistyczna nowoczesność (albo nowoczesny kapitalizm) może udławić się swoimi własnymi odpadami, których nie potrafi ani unieść, ani wchłonąć, nie mówiąc już o ograniczeniu ich toksyczności”.

**

Zaczynają go czytać nie tylko akademicy, ale po prostu ludzie sięgający po różne lektury, zainteresowani tym, co dzieje się wokół nich.

Fenomen Baumana – mędrca i gwiazdy humanistyki, która komunikuje się z publicznością szerszą niż akademicka – rodzi się wraz z nowym stuleciem. Bauman proponuje nowe diagnozy – a może tylko opowiedziane po nowemu i komunikatywnie? Na pewno wypracowuje nowy język refleksji socjologicznej, dostępny szerokiej publiczności czytelniczej. Nośne terminy, obrazy, metafory.

Zaczyna się od książki *Płynna nowoczesność*, później pojawiają się jej liczne kontynuacje (tak zwana „płynna seria”): *Płynne życie*, *Płynny lęk*, *Płynne czasy*, *Płynna miłość...* Do serii należą również tomy nie zawierające w tytule niczego „płynnego”.

„Razem osobno” to opowieść między innymi o trudach życia w czasach płynnej nowoczesności, w których więzy społeczne tracą cechę trwałości. To także esej o poszukiwaniu równowagi między rozluźnianiem tych więzi a zachowaniem czegoś stałego.

W tomie „Europa. Niedokończona przygoda” Bauman ukazuje zagrożenia dla starego kontynentu, jakie wywołuje ekspansja rynku i zastąpienie wypracowanych przez dziesięciolecia praw socjalnych procedurami bezpieczeństwa o represyjnym charakterze.

W „Płynnym lęku” rozważa na nowo obietnicę pewności, kontroli i bezpieczeństwa, jaką niosła nowoczesność i jej paradoksalny skutek w dzisiejszych czasach: wszechobecną niepewność i strach.

W „Konsumowaniu życia” przypomina raz jeszcze, że dawne społeczeństwo produkujące zostało zastąpione przez społeczeństwo konsumujące; i że obywatele zastąpili konsumenci. Zmiana ta przeorała demokrację, politykę, wiele obszarów życia, w tym sposoby kształtowania naszych tożsamości, relacji i społecznych podziałów.

„Płynne czasy” są kontynuacją refleksji o utracie stałych punktów odniesienia w życiu człowieka. Formy społecznego współżycia, instytucje publiczne płynnie się zmieniają; na przykład, coraz mniej ludzi wykonuje przez całe życie jedną i tę samą pracę, a coraz więcej jest zmuszonych realizować wiele krótkoterminowych projektów zawodowych, nieustannie adaptować się do zmieniających się warunków.

**

– Zygmunt jest znany wszędzie, ale najbardziej kochają go w na południu Europy: we Włoszech i Hiszpanii oraz w Ameryce Łacińskiej – mówi Griselda Pollock, przyjaciółka i współpracowniczka z Leeds. – Gdy umarł, właśnie stamtąd podniósł się największy lament.

To kraje i obszary, w których jest silnie zakorzeniona postępową i społecznie zaangażowaną kulturą. Na spotkania z Baumanem tłumnie przychodzą ci, którzy we Włoszech śpiewają antyfaszystowski protest-song „Bella ciao”, w Hiszpanii ci, którzy kochają poezję zamordowanego przez frankistów Federica Garcii Lorki; w Ameryce Łacińskiej ci, którzy noszą koszulki z Che Guevarą i transparenty „Inny świat jest możliwy”.

Niewielu eseistów, socjologów, filozofów, którzy piszą poważnie o poważnych sprawach, może się pochwalić tym, że ich książki obecne są w niemal każdej dobrej księgarni na całym świecie. Przez lata natrafiałem na książki Baumana w wielu krajach Ameryki Łacińskiej, Europie; zdarzyło się to również w Afryce – w Kenii.

Wrażenie zrobił na mnie ołtarzyk ułożony z kilkunastu jego książek w starej, przesyconej artystyczno-dekadentckim duchem dzielnicy Santa Teresa w Rio de Janeiro. Księgarz nie potrafił wiele powiedzieć o autorze: uniósł jedynie dłonie w górę, mówiąc coś w rodzaju „Bauman – gigant”. Był przekonany, że to Anglik.

Pollock opowiada anegdotę, w której jeden z wnuków Baumana, Alex – syn Ireny i Maurice’a Lyonsa, zabłąkał się w jakiejś zapadłej mieścinie w Ameryce Łacińskiej i nawet tam, w małej księgarni, dostrzegł książkę dziadka.

João Manfio, z którym rozmawiam w czasach pandemii przez jeden z komunikatorów, pisał na uniwersytecie w São Paulo doktorat o potencjale edukacyjnym dzieł Baumana. Przeprowadzał między innymi badania nad czytelnością i cytowaniem jego książek na świecie i w Brazylii. Najczęściej cytowaną na świecie jest *Płynna nowoczesność* – pierwsze miejsce w powoływaniu się na nią zajmują Hiszpanie. W Brazylii w środowisku uniwersyteckim największą popularnością cieszą się *Globalizacja i Ponowoczesność jako źródło cierpienia* (największa liczba cytowań). Poza tym środowiskiem brazylijskim bestsellerem stała się *Płynna miłość*; według informacji Manfia trzysta tysięcy sprzedanych egzemplarzy.

– Sukces książki zapewniły z pewnością tytuł i okładka – mówi Manfio. – Okładka przedstawia plażę i serce narysowane na piasku z oceanem w tle. Moja hipoteza jest taka, że to były pierwsze impulsy zakupu książki, być może czytelnicy potraktowali ją jako jeden z poradników „jak żyć”. Jednak język *Płynnej miłości* jest tak przystępny, że zachęcił do lektury.

Manfio zauważa, że w Brazylii wokół dzieł Baumana, zwłaszcza wśród akademików, panuje sporo nieporozumień. Niektórzy nie traktują go jako poważnego badacza. Pewien marksistowski socjolog, według relacji Manfia, nazywa eseistykę Baumana „literaturą lotniskową”. Manfio sądzi, że jedną z przyczyn jest to, że brazylijscy akademicy uważają tematy takie jak miłość za niegodne poważnego socjologa.*

Z wielu rozmów, jakie Manfio prowadził z kolegami z różnych uczelni, wynika, że część krytyków Baumana nie zna zawartości krytykowanych książek. Ograniczają się często do przytaczania nośnych sformułowań „płynne to, płynne tamto”, lecz nie znają ich rozwinięcia.

Pewien kataloński publicysta pokpiwał w felietonie: „teraz okazuje się, że wszyscy czytaliśmy Baumana” – wystarczy rzucić, że coś jest płynne, i mamy gwarantowany sukces towarzyski lub medialny jako mędracy i erudyci.

Nieporozumienia budzą czasem ideowe deklaracje Baumana.

– Kiedyś powiedział – mówi Manfio – że inspiruje się zarówno myślą liberalną, jak i socjalistyczną. W brazylijskiej akademii, gdzie w socjologii dominuje marksizm, zostało to bardzo źle odebrane. Gdy przy innej okazji powiedział: „Umrę socjalistą”, wzbudził entuzjazm.

Nieporozumienie daje się łatwo wyjaśnić. Brazylia to kraj doświadczony dotkliwie eksperymentem neoliberalnym późnych lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych – wszelki liberalizm kojarzy się tam wyłącznie z jego skrajną wersją ostatnich dekad. O neoliberalizmie – modelu wypracowanym w okresie rządów Thatcher i Reagana – Bauman ma tak samo krytyczne zdanie jak brazylijscy marksiści, o czym mogliby przeczytać choćby w jego *Globalizacji*. Deklaracja, że czuje się i liberałem, i socjalistą, należy do innego porządku. Bauman wyjaśnił ją w rozmowie ze swoim przedwcześnie zmarłym uczniem, Keithem Testerem.

„Bezpieczeństwo źródeł utrzymania, które jest warunkiem *sine qua non* prawa człowieka do realizowania swych możliwości, oraz wolność, bez której nie może z tego prawa korzystać – to dwie wartości, od jakich nie można całkowicie odstąpić bez tego, by godność człowieka nie została zaprzepaszczona”. Te dwa programy i dwa sposoby myślenia – socjalistyczny i liberalny – nie wykluczają się, pod warunkiem że „nie przybiorą form skamieniałych dogmatów i nie okopią się w pozabawionych okien bunkrach wojennych”. Idealna równowaga między wolnością a sprawiedliwością i bezpieczeństwem nie istnieje, godzenie tych wartości przypomina rozwiązywanie kwadratury koła. Nie warto wyrzekać się żadnej z nich – to dobra recepta „na życie pełne wątpliwości i trudnych, nie zawsze jednoznacznie dobrych wyborów”.

W Argentynie z kolei wielkim bestsellerem była *Płynna nowoczesność*. – Ta i następne książki Baumana zawdzięczają popularność przystępnemu językowi, nośnym metaforom, sposobowi komunikowania się z czytelnikiem – opowiada Lucas Rubinich, socjolog z Buenos Aires.

– W Argentynie, tak samo jak w Brazylii – słyszę od Rubinicha – niektórzy socjologowie mówią, że książki Baumana to może i lektura dla wymagających, odczytanych, ale na plażę. To podejście protekcyjne, niesprawiedliwe. Bauman trafnie rozpoznaje wiele zjawisk, ludzkich niepokojów, jego analizy są głębokie.

„Jest znany przede wszystkim dzięki pracom na temat dekompozycji ustabilizowanych społeczeństw – pisze z kolei hiszpański akademik i bloger Javier Aristu. – To, co nazwał »płynną nowoczesnością« oznacza upadek naszego poczucia pewności i umocowań, które tworzyły model społeczny zwany czasem społeczeństwem dobrobytu, państwem opiekuńczym, paktem społecznym. Bauman atakuje formy i cele nowego, dzikiego kapitalizmu, zderegulowanego, bez granic czasowych i terytorialnych”.

W opinii tych, którzy uważają go za przewodnika, wnosi światło i mądrość. Nigdy nie podnosi głosu. Przekazuje wiedzę potrzebną do zmiany stanu rzeczy – krzyk uważa za nieskuteczną broń w tym dziele.

Doskonale wyczuwa nastroje niepewności współczesnego człowieka, umie się z nimi skomunikować – jeszcze jedno ze źródeł popularności. W analizach unika abstrakcji i żonglerki pojęciowej. W centrum jego refleksji zawsze jest człowiek – słaby, zagubiony, bez drogowskazów.

– Był głosem protestu, miał odwagę mówić o niesprawiedliwościach, krzywdach, cierpieniu – zwraca uwagę Pollock. – Mówił o wielkich ideach i o codziennych problemach. Czytał gazety, rozmawiał z ludźmi, by rozumieć, co myślą i czują, czym żyją. Nie chciał zamykać się w murach akademii. Jego pisanstwo jest pełne współodczuwania.

Formułując pesymistyczne diagnozy, Bauman nie załamuje rąk nad niesprawiedliwością świata. Zastanawia się raczej – według słów swojego ucznia – jak przywrócić ludziom człowieczeństwo. „Wskazuje, że istota ludzka nie musi się odczłowieczyć, nawet żyjąc w społecznych i historycznych warunkach, w jakich okrutne traktowanie innych przychodzi z łatwością i zdaje się być bezkarne. Zawsze można wybrać człowieczeństwo, zawsze można wybrać moralność”.

Już sam – w zakończeniu *Płynnej nowoczesności* – stwierdza, że neutralna refleksja jako opozycja wobec refleksji zaangażowanej jest niemożliwa, bezsensowna, niemoralna. To jakby zamknąć oczy na krzywdy i odmówić przyjęcia współodpowiedzialności za los innych.

**

W Polsce pierwszej dekady transformacji ustrojowej Bauman jako krytyk neoliberalnego kapitalizmu jest właściwie nieobecny. Cóż polskiemu inteligentowi – zazwyczaj o liberalnych poglądach, odprawiającemu modły do wolnego rynku – po kimś, kto obrazoburczo sugeruje, że zgryzoty człowieka współczesnego rodzą się z ekspansji wolności i kurczenia się obszarów bezpieczeństwa, a nie z ucisku państwa?

Gdy ojcowie założyciele III RP sugerują rozbitkom transformacji, że powinni „płynnie” przekwalifikować się i „uelastyczyć”, Bauman uświadamia, że „nic nie upokarza bardziej niż nędza”. Że „nie ma nędzy bardziej upokarzającej niż ta, jaką trzeba cierpieć, żyjąc wśród ludzi nastawionych na szybkie i stale rosnące bogacenie się” i „pośród orgii niezliczonych pokus”.

Bieda w refleksji Baumana jest „metaupokorzeniem – glebą, w której bujnie krzewi się wszelkie pohańbienie, i odskoczną do wszelkich możliwych upokorzeń”. To z niej wyrastają zarówno marzenia o zmianie, egalitarne projekty, jak i nacjonalistyczne populizmy, rządy, które leczą jedną chorobę za pomocą drugiej, jeszcze gorszej. Bauman nie godzi się na akceptowanie przez zadowolonych sytuacji, w której ofiarę składa ktoś inny – w myśl przeświadczenia, że takie jest życie, świat jest niedoskonały.

Na początku lat dziewięćdziesiątych, w latach triumfu doktryny szoku symbolizowanej w Polsce przez Leszka Balcerowicza – wspomni po czasie socjolog Tomasz Majewski w debacie miesięcznika „Znak” – Bauman wygłasza w Warszawie wykład „z motywami silnie antythacherowskimi i aprobatywnymi nawiązaniem do myśli Róży Luksemburg”. Wywołuje konsternację, nawet oburzenie części słuchaczy. Oto światowej sławy socjolog, zamiast przywieźć nowości ze skarbnicy myśli zachodniej humanistyki, reanimuje myślicielkę gloryfikowaną za czasów Polski Ludowej.

„Nie przypominam sobie żadnej dyskusji z tamtego okresu – mówi Majewski – dotyczącej idei Baumana jako krytyka rynkowej globalizacji i negatywnych, społecznych, politycznych i gospodarczych, stron ponowoczesności. Po pierwszym zderzeniu polskiej publiczności z Baumanem krytykującym Margaret Thatcher zbudowano sobie później jego »spójny obraz« wyczyszczony z elementów sceptycznych wobec kapitalizmu, pomijający jego etykę społeczną”.

Krytykę kapitalizmu podejmuje na początku nowego wieku następne pokolenie. Dopiero dla nowej generacji Bauman jest przewodnikiem – właśnie jako krytyk kapitalizmu – dostarczycielem opowieści i argumentów, diagnostą niepokoju.

[...]

Artur Domosławski

Śmierć w Amazonii / Fragment

Zbrodnia

1.

Zasadzkę zastawili przy małym moście nad potokiem. Zaszyli się wśród drzew wcześniej rano – i czekali. Wiedzieli, że José Cláudio i Maria muszą tu zwolnić. Zapewne wtedy padł strzał.

Wystrzelona z myśliwskiego sztucera kula trafiła oboje naraz: przeszła przez rękę Marii i utkwiała w okolicy lewej ściany żołądka José Cláudia. Według innej hipotezy pierwsza kula trafiła tylko Marię. Po upadku z motocykla oboje jeszcze żyli. Zabójcy dobili ich z bliska, ciała zwlekli z drogi i odjechali w stronę miasta.

José Cláudiowi odcięli prawe ucho.

2.

Laísa, siostra Marii, nauczycielka w szkole podstawowej, była o siódmej z minutami w klasie, przygotowywała się do lekcji. Siostra i szwagier na motocyklu marki Honda mignęli w oknie. Laísa wiedziała, że we wtorek rano wybierają się do miasta.

Niedługo potem sprzątaczką wpada z krzykiem: „Nie żyje, nie żyje!”. „Kto nie żyje?”. „José Cláudio. Straszny wypadek!”.

W drodze na miejsce zdarzenia Laísa próbuje znaleźć słowa pociechy dla siostry. Maria i José Cláudio byli jak jedna dusza w dwóch ciałach. „To nie mój mąż, to mój towarzysz – mówiła Maria. – A to dużo, dużo więcej”. Jakimi słowami ukoić ból siostry?

Na miejscu są już ludzie z sąsiedztwa, czekają na policję. Laísa dostrzega, że José Cláudio ma obcięte ucho.

Popłynęły tłumione wcześniej łzy, zrozumiała, że to nie wypadek. Odcięte ucho to dowód dla zleceniodawcy, że zabójcy wykonali zadanie. Pogrożki, które José Cláudio

dostawał od dawna, właśnie się spełniły.

Zaczęła odganiać muchy i osy lepiące się do zakrwawionych ust szwagra. Żeby jeszcze choć na chwilę odwlec rozmowę z Marią. Wciąż nie wiedziała, co powiedzieć siostrze, jak ją pocieszyć.

Kilka metrów dalej stała grupka ludzi i wcześniej Laísa nie zauważyła, że leży tam ktoś jeszcze.

– Przeżyłam dwa szoki, jeden po drugim. Krzyczałam w myślach: „Siostro, dlaczego mnie opuściłaś?”

3.

Około ósmej czterdzieści rano do Batisty, adwokata i towarzysza wspólnej sprawy, zadzwonił przyjaciel:

– Właśnie słuchałem radia. Mam dla ciebie smutną wiadomość...

Batistcie przewinięły się przed oczami sceny z jego czternastoletniej przyjaźni z José Cláudiem i Marią.

4.

Lokalna gazeta „Diário do Pará” dzień później, dwudziestego

piątego maja dwa tysiące jedenastego:

Ekolodzy zabici w zasadzce

Dwoje ekologów – José Cláudio Ribeiro da Silva, lat pięćdziesiąt cztery, i Maria do Espírito Santo da Silva, lat pięć dziesiąt trzy – zostało zamordowanych wczoraj rano w miejscowości Nova Ipixuna. Zbrodni dokonano najprawdopodobniej na zlecenie. Według wstępnych ustaleń biegłego Augusta Barbosy de Andrade, do każdej z zabitych osób strzelano wielokrotnie, prawdopodobnie ze sztucera myśliwskiego i rewolweru kaliber 38. „Jednak dopiero ekspertyzy potwierdzą kaliber broni i ustalą liczbę oddanych strzałów”.

José Cláudio i Maria do Espírito Santo wpadli w zasadzkę przy moście nad potokiem Cupu, na terenie osady Praia Alta Piranheira, około czterdziestu kilometrów od Novej Ipixuny. Ich zwłoki, po przeprowadzeniu sekcji, mają być wystawione dziś w dzielnicy São Félix, a następnie pochowane w Marabie. Osierocili szesnastoletniego adoptowanego syna.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku należeli do pierwszych osadników w Praia Alta Piranheira, gdzie obecnie, na obszarze dwudziestu dwóch tysięcy hektarów – w większości ogołconych z drzew – mieszka

czterysta czterdzieści rodzin.

Prowadzili walkę przeciwko *madereiros*, którzy systematycznie dewastują region. W lipcu ubiegłego roku zgłaszali doniesienia do Pastoralnej Komisji do spraw Ziemi o pogróżkach, jakie dostawali w związku ze swoją działalnością na rzecz ochrony środowiska.

Według koordynatora Komisji, José Batisty Gonçalvesa Afonso, władze nie zajęły się nawet sprawdzeniem pogrózek. „W stanie Pará historia się powtarza, nasi towarzysze składają doniesienia, nikt ich nie słucha, a następnie giną”, mówi oburzony.

Opinię tę potwierdził przewodniczący Związku Rolników i Rolniczek z Novej Ipixuny Edmundo Ribeira da Silva i dodał: „Nasza krew komuś służy. Ilu nas jeszcze musi umrzeć, żeby państwo podjęło kroki przeciwko wycinaniu

puszczy w naszym regionie?”.

Radny João Batista Delmondes (Partia Pracujących), jeden z przyjaciół zamordowanych, uważa, że zabójstwo to skutek ich działalności na rzecz ochrony środowiska. „Byli autentycznymi obrońcami natury, a ci, którzy zlecili zabójstwo,

z całą pewnością mają interes w wycinaniu drzew w regionie” – mówi.

Claudelize Silva dos Santos, siostra José Cláudia, powiedziała, że będzie walczyć o sprawiedliwość i o to, żeby śmierć brata i szwagierki nie poszła w zapomnienie.

„W stanie Pará w ciągu ostatnich piętnastu lat zamordowano dwustu pięciu działaczy wiejskich, a w ciągu ostatnich czterech dekad – ponad ośmiuset. W więzieniach

siedzi mniej niż pięciu zleceńodawców tych zbrodni” – mówi Batista.

5.

W dniu zabójstwa brazylijski Kongres debatował nad nowym kodeksem leśnym.

Kodeks określa nowe limity wycinki lasów Amazonii (czytaj: pozwala wycinać więcej) i wprowadza amnestię dla wszystkich, którzy wycinali dżunglę nielegalnie. Gdy do stolicy dotarła wiadomość o zamordowaniu dwójki ekologów z Novej Ipixuny, na mównicę wszedł deputowany z Partii Zielonych (Partido Verde – PV) Sarney Filho.

– Zabieram głos z tej trybuny, żeby powiedzieć o tragedii, do jakiej doszło właśnie dzisiaj. Najpierw jednak chcę przeczytać fragment wywiadu, jaki przeprowadził dziennikarz Felipe Milanez z zamordowanym José Cláudiem: „Pojechałem zobaczyć Jej Wysokość – ogromne drzewo kasztanowe w gospodarstwie José Cláudia Ribeiro da Silvy i Marii do Espírito Santo. To największy kasztanowiec, jaki widziałem w życiu, i największy, jaki widział w życiu także José Cláudio. Małżeństwo to żyje ze zbioru kasztanów i z tego, co zrodzi puszcza. Sprzeciwia się wycinaniu

drzew przez handlarzy drewnem...

– Gdy ściąga się drzewo, takie jak to, czy nie kojarzy ci się to z przelewaniem krwi?

– Mój przyjacielu, ono, gdy się je ściąga, wydziela zapach, który możesz poczuć. Gdy ma się zwalić, słyszysz jego jęk: skrzypienie pnia. I możesz zobaczyć opadające liście niczym gest pożegnania...

– I czujesz, jak gdyby ktoś umierał?

– Czuję, jak gdyby kogoś zabijano. Ono jest żywą istotą...”

Panie Przewodniczący, ten człowiek został dziś rano zamordowany, oboje zostali zamordowani...

Z sali dochodzą odgłosy niezadowolenia.

– Zachowajcie choć szacunek dla pamięci o tych bohaterach, których zamordowano! – krzyczy deputowany Sarney Filho.

Na sali rozlega się głośne buczenie.

– Proszę deputowanych o spokój... – apeluje prowadzący obrady Kongresu.

Wzburzony Sarney Filho krzyczy:

– ...tak, których zamordowano! To nie żarty!

Oglądam nagranie z sesji Kongresu razem z Laísą w jej domku w nędznej dzielnicy Maraby. Kto miał tyle buty i bezczelności, żeby wybuścić wiadomość o czyjejś śmierci? Ktoś, komu zamordowani wchodzili w drogę? Narazili się?

6.

Pogrzeb. Kondukt żałobny – kilka tysięcy wieśniaków – maszeruje w zaduchu i spiekocie. Idą około dziesięciu kilometrów. Wychodzą z domu jednego z braci José Cláudia i zacierają w stronę Cmentarza Tęsknoty w Marabie. Po drodze przystają – na moście na rzece Tocantins, na szosie Ferro Carajás.

Niosą transparenty: „A FLORESTA CHORA” (Puszcza płacze).

Lider chłopski Charles Trocate wchodzi na dach fiata uno. Przemawia:

– Ten marsz to najlepsze, co możemy dzisiaj zrobić. Żądamy sprawiedliwości!

Mikrofon przejmuje kobieta. Mówi:

– Śmierć Marii i José Cláudia nie pójdzie na marne. Na ich miejsce przyjdzie sto nowych Marii i stu nowych José Cláudiów.

Na cmentarzu, nad trumnami zamordowanych ekologów mikrofon wrywają sobie lokalni politycy, oficjele, kongresmani, mundurowi. („Gdzie byli, gdy José Cláudio i Maria składali doniesienia o nielegalnym wycinaniu drzew i gdy prosili o ochronę?” – spyta potem jeden z przyjaciół).

Nad konduktem, a potem nad cmentarzem krąży policyjny

helikopter.

Łzy przy grobie. Najgłośniej rozpacza Laísa. José Cláudio życzył sobie, żeby jego ciało spalić, a prochy rozsypać u stóp kasztanowca – Jej Wysokości. Rodziny nie stać na kremację, dlatego jest tradycyjny pochówek ciał.

Uwagę dziennikarza i przyjaciela zamordowanych Felipe Milaneza zwraca atmosfera strachu, niemal paniki wśród wieśniaków. Ludzie mówią między sobą, że w tłumie może być zabójca. Wyczuwa się napięcie, niepokój. Nagle w tej wielkiej ludzkiej masie ktoś wypatruje właściciela ziemskiego, niejakiego Gilzão.

Ten Gilzão groził kiedyś José Cláudiowi, w oczach ludzi jest jednym z podejrzanych o zlecenie zabójstwa.

Ktoś rzuca: „Bezczelność!”

Ktoś inny: „A to kutas!”. Felipe Milanez rozgląda się wokół i obmyśla, gdzie paść na ziemię, gdyby doszło do strzelaniny.

„Świat przemocy w tej części Amazonii ucieka się do strategii terroryzmu – napisze potem. – Nie uderza otwarcie, wprost. Działa z ukrycia, w okrutny sposób, penetruje

wyobraźnię zastraszonych. Panika wśród wieśniaków dowodzi, że to skuteczna strategia”.

Około trzeciej po południu, dokładnie w trakcie trwania uroczystości pogrzebowych, nieznani sprawcy zabijają dwudziestopięcioletniego Heriveltona Pereirę. Ludzie spekulują, czy zginął dlatego, że wiedział coś o zabójcach José Cláudia i Marii? Jego ciało znaleziono w nocy w gęstwinie krzaków – w tej samej osadzie, w której mieszkali zamordowani ekolodzy. Prowadzący śledztwo oficer oznajmił nad jego zwłokami krótko:

– *Madereiros*.

Marabá

7.

O zabójstwie José Cláudia i Marii dowiedziałem się z sieci. Napisały o nim duże gazety i strony internetowe, na które zaglądam.

W Marabie byłem siedem lat wcześniej, w podobnych okolicznościach: kilka dni po zamordowaniu amerykańskiej zakonnicy Dorothy Stang. Mieszkała w Brazylii od ponad trzech dekad. Razem z wieśniakami dobijała się o reformę rolną, opiekowała się tymi bez ziemi, domagała się dla nich i razem z nimi prawa do godnego życia na kawałku własnego pola. Tak jak José Cláudio i Maria, angażowała się w kampanie obrony lasów deszczowych Amazonii przed wycinką. Lasy te dewastują handlarze drewnem, węglem drzewnym oraz hodowcy bydła. Ci ostatni – żeby posiać na ich miejscu trawę i zamienić puszcze w pastwiska. Co roku znikają w ten sposób tysiące kilometrów kwadratowych dżungli nazywanej „płucami Ziemi”.

Siostrze Dorothy grozili od dawna, ale nikt w Marabie nie wierzył, że można bezkarnie zamordować Amerykankę. W sobotę rano, dwunastego lutego dwa tysiące piątego roku, niedaleko miasteczka Anapu w stanie Pará, ktoś

dowiódł, że można.

Zawrzało. Zabójstwo zakonnicy ekolożki przez dłuższy czas było główną wiadomością telewizyjnych programów informacyjnych, nie schodziło też z pierwszych, a potem dalszych stron gazet. Pisano o nim w Stanach Zjednoczonych i w Europie. Prezydent Brazylii Lula wysłał do stanu Pará dwa tysiące żołnierzy. Wyglądało to jak konkwista części terytorium własnego kraju, cieszącej się niesławnymi imionami „ziemia bezprawia”, „ziemia niczyja”, „brazylijski Dzik Zachód”.

W takich okolicznościach kupiłem bilet z Rio de Janeiro do Maraby, zostawiłem część rzeczy w mieszkaniu przyjaciela – tej części podróży w ogóle nie planowałem – i znalazłem się na „ziemi bezprawia”. Francisco da Costa, miejscowy działacz chłopski, którego spotkałem jako jednego z pierwszych, od razu powiedział, że z tym wojskiem to śmiertelny błąd.

– Jak tylko żołnierze wrócą do koszar, będzie gorzej niż przed interwencją.

– Dlaczego?

– Bo hodowcy bydła i handlarze drewnem złączą się mścić i zabijać niewygodnych.

To był pierwszy raz w historii Brazylii, kiedy władza centralna wysłała wojsko, żeby powstrzymać zbrodnie potężnych właścicieli, hodowców, ludzi wielkiego pieniądza. Wcześniej siły bezpieczeństwa pojawiały się w interiorze a zamówienie latyfundystów: żeby pacyfikować bezrolnych chłopów zajmujących ziemię. Albo w czasach dyktatury wojskowej: żeby wytępić czerwoną partyzantkę.

Wojsko nie wygra tej wojny, wtórowała Joelma, znana w regionie działaczka chłopska, której męża też zamordowano na zlecenie. – Wojny? – dopytywałem. – Tak, to, co się dzieje w stanie Pará, to cicha wojna domowa. Wysłanie armii to gest propagandowy, telewizyjny show. Przecież żeby „okupacja” odniosła jakikolwiek skutek – mówiła Joelma – żołnierze musieliby tu stacjonować przez lata. Rząd nie ma na to pieniędzy, a może i ochoty, mimo że przywdział szaty postępu i społecznej sprawiedliwości.

Wkrótce dowódcy armii zaczęli szemrać, bo zabrakło pieniędzy na paliwo do samochodów i wyżywienie dla oddziałów. Zleceniodawcy zabójstwa siostry Dorothy

musieli pękać ze śmiechu, pewnie wypili z tej okazji niejednego szampana.

Teraz przekonuję się, że Joelma miała sto procent racji. Wojsko tej wojny nie wygrało, niczego nie załatwiło. Historia w Amazonii się powtarza – tak jak mówił przyjaciel zamordowanych ekologów, adwokat Batista, którego również poznałem przed laty. Zawsze jest tak samo: ktoś zgłasza doniesienia o nielegalnym niszczeniu lasów deszczowych, władze państwowe nie reagują, zaczynają się pogrożki. Na końcu zjawiają się najęci rewolwerowcy... Puszcza dewastowana jest dalej.

Joelma wieszczyła, że jeśli nic się w Amazonii nie zmieni, wkrótce wrócę napisać reportaż o jej śmierci.

Wróciłem siedem lat później napisać o śmierci jej towarzyszy.

[...]